



# OGRÓD UTRAPIEŃ TRANSCENDENTNYCH



Dominika A. Thomson

Dominika A. Thomson

*Ogród Utrapien Transcendentnych*

Projekt okładki: Dominika A. Thomson

*Copyright © 2020 by Dominika A. Thomson*

*Wszelkie prawa zastrzeżone. Całość ani żadna część tej publikacji nie może być powielana, dystrybuowana, przetwarzana, wysyłana ani transmitowana w jakiegokolwiek formie. Kopiowanie i wykorzystywanie w formie elektronicznej bądź jakiegokolwiek innej bez pisemnego zezwolenia autora jest zabronione.*

Wydanie Pierwsze

Wersja elektroniczna:

ISBN: 978-83-958948-0-0

Wersja drukowana:

ISBN: 978-83-958948-1-7

# Rozdział I



Ciemność. Głucha cisza. W atmosferze czuć przedsmak zaogniającego się lęku, który niebawem osiągnie swoje apogeum. Stopniowo wzrastał w dwóch postaciach, opartych o ścianę w pełnym milczeniu.

Siedzieli naprzeciw siebie, niekiedy nieznacznie zerkając w swoją stronę. Długie spojrzenia inicjowały uczucie zakłopotania. Nie myli się od wielu tygodni, nosili zawzione, lepkie od potu i wilgoci ubrania. Ich twarze, nękanie przykrymi emocjami, pokrywał gęsty kurz. Włosy dziewczyny, uplecione w długi warkocz, rozluźniły swój niegdyś misternie ułożony węzeł. Wstydzili się siebie nawzajem, wstydzili się samych siebie. Czuli się upodleni. Który to już dzień tutaj siedzą? Nikt ich nie woła, nikt ich nie szuka. Nikt nikogo nie woła.

Nagle cicho odezwał się nieśmiały głos:

— Janku, czy pamiętasz...

Chłopak jedynie uśmiechnął się znacząco. W jego głowie wyświetliły się obrazy minionych dni — jej uśmiech, mieniające się w słońcu blond włosy. Czerwcowe błękitne niebo. Pierwszy pocałunek. Kula, która trafiła go podczas walk. Szpital. Jej biało-czerwona opaska na ramieniu.

Ponownie popadli w marazm. Musieli oszczędzać swoje i tak nadszarpnięte zasoby energii. Napięte od oczekiwania ciała były wystarczająco wycieńczone psychicznie. Zesztywniali w bezruchu. Każdy gest ich udręczonego organizmu sprawiał ból.

Chłopak nie wytrzymał napięcia i po chwili wstał, przybierając lekko przygarbioną postawę. Dotknął sufitu niskiego bunkra.

\*\*\*

Bunkier był niewielki, całkiem zawilgocony. Nierzadko chadzali w nim stali mieszkańcy — opasłe szczury, jedyni syci lokatorzy.

Budowla miała prostą konstrukcję. Tworzył ją prowadzący na wprost korytarz. Z lewej strony budynek łączył się z kanałami, formułując kąt prosty. Przed tym skrzyżowaniem znajdowało się niewielkie wydzielone miejsce do siedzenia. Po prawej stronie korytarza zaś występowało niewielkie podwyższenie na kształt równi pochyłej, jednak nie tak stromej i bardziej wypukłej. Prowadziło ono do małego, pieczołowicie zakrytego otworu — jedyne okna na świat.

Lecz tego świata już nie było potrzeby oglądać.

Jakiś czas temu Janek, dla zabicia i tak dłużącemu się czasu, wyjrzał jednym okiem przez ów dziurę. Po ukazaniu się przerażającego krajobrazu zamarł.

Widok przerósł jego najśmielsze oczekiwania. Jego miasto skonało.

Zewsząd leżały gruzy. Ruiny niemal krzyczały, ukazując swoje rozdarcie. Przerażające żelazne pręty układały się w przeróżne kształty. Niektóre wystawały, tworząc rodzaj krat, inne zaś wiły się niczym drapieżne węże, ogołacając konstrukcje całych domów. Cegły porozsypywały się po dużym obszarze, mury ledwo stały, a niewielki podmuch wiatru sprawiał, iż chwiały się na wątych murowanych podestach i miały zaraz się całkiem przewrócić. Ziemia także cierpiała. Nie widać było niegdyś wyraźnie zaznaczonej granicy między ulicą a trawnikami. Na całym obszarze sięgającym wzroku rozlegała się bezkresna pustynia, złożona z bladego piachu, pobitewnego kurzu, drobinek gruzu i błota.

Nie dało się zauważyć ani jednej żywej duszy. Wszystko wymarło, całe miasto, które było im matką i wychowało tę dwójkę, uwięzioną teraz w swej kryjówce.

Od tamtej pory nie odsłaniali już wnętrza.

\*\*\*

Dni spędzone w bunkrze nie zawsze należały do spokojnych, przytłumionych wrażeniem miejskiej zagłady. Czasem rozlegała się kanonada, złożona z terkotania broni maszynowej, hałasu pocisków przeciwlotniczych i bombardujących wrogich samolotów. Głuchy odgłos spadających łusek granatów również nie należał do rzadkości. Tej broni mieszkańcy bunkra bali się najbardziej. Wrzucony przez najmniejszą odkrytą dziurę mógł szybko skończyć ich żywot. Wielu ich znajomych skończyło właśnie w ten sposób - pochowani w kryjówkach, zaskoczeni zdradą i zbliżającym się nagłym końcem. Hałas był nie do zniesienia, a lęk o własne życie jeszcze bardziej przez niego spotęgowany.

Tak również przemijało kilka ostatnich dni.

W wymarłym mieście, nie otrząśniętym z własnej hekatomby, nagle podniósł się gwar. Z północnej części, znów nadeszli wrogowie. Jak krwiożercze sępy złaknione ostatnich kawałków padliny, przyszli się upewnić, czy mieszkańcy zostali doszczętnie wytępieni. Żądali ostatniej niewinnej krwi na ołtarzu wojny.

Dwójka młodych ludzi przeżywała właśnie swoje udręki w bezpiecznym dotąd azylu, który w niesprzyjających okolicznościach, mógłby stać się dla nich również i bezimiennym grobem.

— Ktoś nas zdradził, Aniu. Jestem tego pewien — mruknął pod nosem Janek.

Ania siedziała tak jak zwykle, oparta o ścianę. Janek starał się przeganiać złe myśli, cicho przechadzając się po ich mieszkalnej części bunkra. Widział, jak łzy powoli spływają z jej oczu.

— Nie, nie teraz... Jestem pewna, że niedługo ten koszmar się skończy. Nie możemy zginąć!

Chłopak chadzał z kąta w kąt, przygarbiony, z założonymi za siebie rękami, niekiedy trącając butem napotkane na drodze małe kamyki. Odwróciła głowę w jego stronę, poszukując kontaktu wzrokowego.

— Wierzę, że się mylisz. Może szykują się do odwrotu i nieszczęściem przechodzą akurat przez nasze strony.

— To tylko domysły! Nie mamy żadnej pewności.

— Lecz nie możemy pozbawiać się nadziei.

— Jakiej nadziei?! Nie ma różnicy pomiędzy śmiercią przez czyiś długi język lub z rąk rozgniewanych wojsk!

— Może nas ominą.

Janek prychnął z dezaprobatą. Jego wiara w szczęśliwy obrót spraw już dawno temu uleciała bezpowrotnie.

Nie zamierzali się kłócić, choć często wymiana zdań niebezpiecznie ocierała się o granicę sporu. Wtedy łagodna z usposobienia Ania odpuszczała, milcząc i zasmucając się nieco. Janek zaś nerwowo próbował odpalić sobie niedopałek papierosa, o ile jeszcze jakieś mu pozostały.

Postukiwał palcami o wilgotną ścianę, czekając na odpływ nagłego gniewu.

Nagle z zewnątrz dobiegł odgłos przeraźliwego huku. Ściany bunkra zadrżały, a z sufitu zaczęły osypywać się drobne kawałki oderwanego tynku. Oboje z postaci momentalnie zgięły się w pół, zasłaniając się rękami. Wezbrany kurz nie pozwalał im oddychać.

Nie wiedzieli, co ich teraz czeka. Czy mieli zginąć upodleni, niemalże równi szczurom?

Ochłonawszy nieco z ataku, Janek ruszył w stronę kanałów. Długo czekał na ten moment - nie zamierzał zginąć bez honoru, zdany na łaskę wroga. Żyły na jego szyi wezbrały i zacisnęły się w ostrym wyrazie gniewu. Determinacja odezwała się w nim i pragnął już tylko zawalczyć o ostatnie w jego odczuciu chwile. Błyskawicznym gestem odkrył spod szmat i spróchniałych pozostałości desek broń z kilkoma nabojami. Pragnął wymiany. Krew za krew.

W ułamku sekundy dotarł do przeciwległego końca bunkra.

Ania, oglądając w przerażeniu ten pośpiech, natychmiast ruszyła za nim. Jej oczy pozostawały rozwarte szeroko pod wpływem wrażenia, jakie zrobił na niej podniszczony pistolet maszynowy.

— Skąd masz tę broń?! Kiedy zamierzałeś mi... — reszta słów ugrzęzła w gardle. Głucha kanonada narastała w rytm turkotania.

Janek w skupieniu ściągał blokujące otwór zabezpieczenia. Dziewczyna rzuciła się z piąstkami w jego stronę.

— Błagam cię, nie rób tego!

Zasłonił się łokciem, blokując jej atak.

— Uspokójże się, niemądra!

Nastolatka padła na ziemię, wyczerpana.

Wnęka, odsłonięta trochę ponad wysokość lufy, ukazała widok zniszczonego miasta. Tym razem para wegetujących w bunkrze rozbitków nie obcowiała jednak z niegroźną pustką. Ich oczom ukazał się bitewny, podniesiony kurz, gwary obcobrzmiących rozkazów kilkunastu mężczyzn w szarych mundurach. Znajdowali się w nieznacznej odległości. Niosąc na plecach miotacze ognia, raczyli nimi pokaleczone domy z powybijanymi szybami, resztki ogołoconych szkieletów konstrukcji. Budynki natychmiast stawały w ogniu. Bijąca gniewna pożoga dawała poblask ciepłego światła, jak niegdyś zachodzące nad miastem spokojne słońce. Za żołnierzami można było dostrzec czołg poruszający się z gniewną zaciętością na swych gąsienicach.

Szare mundury posuwały się naprzód, nie oszczędzając przy tym nawet najmniejszego obszaru. Potężne huki granatów i rzuconych koktajlów Mołotowa, sprawiały, że w bunkrze dudniło, a ściany i sufit osypywały się coraz bardziej, wzbierając kurz. Ania z przestachem zasłaniała uszy. Od czasu do czasu pokaszliwała rozpaczliwie.

Janek celował do wroga.

Chwilę wahał się nad oddaniem strzału. Jego ruch musiał być w miarę przemyślany. Niewielki oddział zbliżał się właśnie do miejsca kryjówki. Kilka sekund opóźnienia decyzji mogło przyczynić się do ich niepomszczonej przez nikogo śmierci.

Bił się z myślami. Coś w jego głowie naraz podpowiadało — strzelać natychmiast. Strzelać! Czekać. Nie strzelać, strzelać. Nie strzelać.

Kątem oka zerknął na ukochaną. Podduszona dymem, dławiła się wznieconymi w powietrzu kawałkami. Jej błękitne oczy przepojone smutkiem spojrzały na niego, stopniowo zachodząc mgłą.

W jednym momencie przepłynęła przez niego fala nienawiści i odrazy, jaką żywił do wroga. Skierował celownik w głowę jednego z nich.

Pot spływał mu obficie z czoła.

— Aniu, spotkamy się jeszcze! Nie w bunkrze, choćby gdzieś na końcu innego świata... Obiecuję Ci to! — wykrzyczał i pociągnął ostatnimi siłami za spust.

Koło celownika naznaczyło szary mundur nimbem śmierci. Rozległ się głuchy odgłos ciała padającego na suchym piasku. Naraz podniosły się

rozzłoszczone okrzyki w obcym języku. Czołg, dotychczas patrzący w inną stronę, z impetem zwrócił swój łeb w kierunku ich azylu.

Olbrzymia kula wyleciała ze świstem.

Ziemia zatrzęsała się. Mury w środku bunkra zaczęły trzeszczeć, po czym rozpadały się na tysiące małych kawałeczków.

Budowla powoli przykrywała ich swoim ciężarem.

Oboje doznali zawrotów głowy. Przed oczami mieniły się wszystkie barwy, a w myślach przewijała projekcja najlepszych chwil. Lato. Pocałunek. Ostatkiem tchnienia dławili się rozpylonym kurzem.

Zdążyli wyszeptać nieśmiało pożegnanie. Janek obdarzył ukochaną czułym spojrzeniem. Jej oczy — zwrócone wysoko ku niebu — nie odwzajemniły już kontaktu. Lniane włosy porozrzucane były niedbale, a cera przybrała blady odcień. Zastygła nieruchomo.

Kilka sekund później i jej ukochanego zabrała wieczność.